

FAMIASTO

Biuletyn 45. Festiwalu FAMA

NR 3/3



Marcin zwycięzca / str. 4

Szukanie innej rzeczywistości / str. 5

Facet z wykrywaczem / str. 9



Dziękujemy
za wspólny Weekend
na Warszawie



Tak wyszło

Ostatni numer „Famiasta” bezsprzecznie zdominowali mężczyźni. Zupełnie przypadkiem, niechcący i wcale nie dlatego, że poza Redaktorem Dziękuję, redakcja składa się wyłącznie z kobiet. Nic z tych rzeczy.

Przedstawiamy Wam famowych gości i uczestników, którzy na co dzień poświęcają się różnym dziedzinom sztuki, realizując się na zupełnie odmiennych od siebie polach. Łączy ich jednak pasja, talent i konsekwencja we wcielaniu w życie swoich wizji, kreowaniu rzeczywistości, dzieleniu się z innymi swoimi pomysłami na odczuwanie i dotykaniu świata. Michał Olszewski odmalowuje słowami portret Polski w reportażach, Marcin Masecki dociera do naszych głów za pośrednictwem dźwięków, a Tomek Sikora i Szymon Piasta prowokują do tego, by otaczającej nas rzeczywistości przyglądać się jeszcze uważniej, z bliska. Marek Kasz, patron nagrody dziennikarskiej

i jedna z najbarwniejszych osobowości w historii FAMY, pojawia się na łamach „Famiasta” we wspomnieniach dziennikarza, Marka Osajdy. Wszyscy wymienieni mogliby stanowić sumę składowych FAMY i dać wyraz tego, jak złożonym organizmem jest ten Festiwal. Przez dwa tygodnie doświadczało tego kilkaset osób, spośród których jury wybierze swoich faworytów. Poznamy ich w piątek, 28 sierpnia, podczas koncertu finałowego „Listy do F”.

Pośród kandydatów do tytułu laureata i nagród są także uczestniczki dziennikarskiej sekcji warsztatowej, za które trzymam kciuki i którym dziękuję za owocną współpracę, życząc powodzenia w dalszych poczynaniach.

Dzika 45. FAMA dobiega końca. Tak wyszło.

● Naczelnia

Spis treści

Poszukiwany Marek Kasz	3
Marcin zwycięzca	4
Szukanie innej rzeczywistości	5
Nigdy nie byliśmy w górach, a poszliśmy w Himalaje	7
Piętnastu twórców – piętnaście wizji jednej idei	8
Facet z wykrywaczem	9
Kwestionariusz Podróżnika Literatury	11
Bardzo zdolni szansoniści o słowie w muzyce	12
Kolonie dla dorosłych	13
Dzika ekspedycja	14
Starzy Znajomi	15
Wykreśl FAME!	15

Naczelnia:

Redakcja:

Monika Stopczyk
Weronika Bukowska
Redaktor Dzięk
Natalia Kowalczyk
Klaudia Mazur
Zuzanna Sala
Martyna Tomczyk
Aleksandra Woźniak
Piotr Depta i Kaja Kleśta
Piotr Depta i Kaja Kleśta
Mateusz Beżnic
45. Festiwal FAMA
famiasto@gmail.com

Ilustracje:

Projekt okładki:

Opracowanie graficzne i skład:

Wydawca:

Kontakt:

fama.org.pl | facebook.com/famiasto | instagram.com/famiasto

Poszukiwany Marek Kasz

**Wybitny dziennikarz, publicysta i felietonista, patron nagrody dziennikarskiej i dobry duch FAMY, postać do-
prawdy wyjątkowa, dziś niesłusznie wyparta ze zbiorowej, kulturalnej pamięci – kim był? Na to pytanie pró-
buje mi odpowiedzieć dziennikarz, Marek Osajda, prowadzący tegoroczne warsztaty sekcji dziennikarskiej.**

Martyna Tomczyk: Nagroda dziennikarska Festiwalu FAMA nosi imię Marka Kasza, może warto byłoby przybliżyć jego sylwetkę, dziś już nieco zapomnianą.

Marek Osajda: To jest taki paradoks, że wielu uczestników FAMY, tegorocznej czy tej z lat ubiegłych, właściwie nie ma specjalnej wiedzy na temat Marka Kasza, a jego nagroda jednak jest tutaj przyznawana. Paradoks polega również na tym, że kiedy Marek Kasz był na FAMIE to był człowiekiem niezwykle znanym i popularnym. Można powiedzieć, z absolutną pewnością, że był jedną z największych gwiazd tego Festiwalu. Był takim typem człowieka, który przyciąga. Dusza towarzystwa, ale też bardzo miły i serdeczny facet. Niezwykle błyskotliwy i dowcipny.

Jeżeli chodzi natomiast o jego dziennikarstwo: absolutnie znakomity felietonista! Potrafił pisać i miał jakiś dar, taki talent do felietonów. Ale nie przykładął chyba szczególnej wagi do tego, żeby się promować, wydawać książki, zbierać swoje felietony razem, tak jak to robili inni felietoniści, np. Janusz Głowacki. Pewnie dlatego teraz nie można znaleźć zbyt wielu informacji na jego temat.

Zawsze był łączony z dwoma dziennikarzami. To była taka trójca dziennikarska – nieżyjący już Janusz Atlas, Ryszard Giedroyc, no i Marek Kasz. Stanowili niesamowite trio zarówno towarzysko, jak i dziennikarsko. Bywali tu na FAMACH, bywali na innych tego typu imprezach. Z jednej strony bardzo zabawowi, ale z drugiej też świetni dziennikarze. Każdy z nich był znany, a ich teksty zawsze czytało się z ogromnym zainteresowaniem. Być może warto więc łączyć zabawę z pracą (*śmiech*).

Co jeszcze można powiedzieć o Kaszu? On, jak wielu dziennikarzy w tamtym czasie, był tym, który „szczypał” władzę. W wielu jego felietonach było to widoczne. Tacy jak on naśmiewali się z idiotyzmów, ze słabości władzy, z paradoksów. Jako ciekawostkę mogę powiedzieć jeszcze, że w ramach walki z tą władzą, wspólnie z kolegami, Kasz zorganizował pierwszy przegląd filmów pornograficznych. Były one wówczas w Polsce zakazane, to wszystko traktowane było więc też jako pewien opór przeciwko władzy. Pamiętam, że kilka razy te festiwale urządzali, ale on zazwyczaj był zawiedziony, bo mówił, że to jednak wszystko są bardzo schematyczne filmy i niestety dominuje w nich taki nurt „tartaczny” (*śmiech*).

Pracował w Przeglądzie Tygodniowym, który był wtedy cenionym pismem i wiem, że wielu redaktorów naczelnych innych pism chciało go do siebie ściągnąć. Był po prostu bardzo sprawnym i dobrym dziennikarzem. Pisał do wielu różnych gazet i był bardzo operatywnym facetem, mimo że pracował w bardzo dziwny sposób. Pamiętam jak mi opowiadał, że zaczyna pracę o piątej rano i pisze do ósmej. Tylko przez te trzy godziny, bo potem ma już jakieś spotkania, imprezy i nie ma na nic czasu.

Kiedy nagle zmarł, bardzo ubolewano, że nie ma już takiego człowieka. On był jakimś magnesem, przyciągał do siebie ludzi, dodawał wszystkiemu koloru.

Marek Kasz urodził się w Chełmie, a w ciągu wielu lat swojego życia i działalności, związany był raczej z Warszawą. Jak wyglądał jego kontakt ze Świnoujściem, z FAMĄ?

On kochał Świnoujście. Przyjeżdżał na FAMY, był też kiedyś rzecznikiem Festiwalu, o ile się nie mylę, a miasto szczególnie sobie ukochał. Gdy dostał kiedyś talon na małego Fiata, który był wtedy po prostu szczytem marzeń, to pierwszą trasę w jaką się wybrał, była właśnie trasa do Świnoujścia. Był bardzo ciekawym, takim właśnie żywym człowiekiem. Niestety niewiele o nim wiemy, bo nie ma właściwie żadnej dokumentacji. To były czasy przedinternetowe, dlatego teraz jak się gdzieś nawet szpera w sieci to niewiele można na jego temat znaleźć, nic tam nie ma.

Cieężko też dotrzeć do jego tekstów.

Tu, w Świnoujściu jeszcze parę osób, które Kasza pamiętają. Redaktor naczelny „Wyspiarza”, Krzysztof Nowak, na pewno go znał i może coś jeszcze o nim powiedzieć, ale generalnie nie spotykam już zbyt wielu ludzi, którzy mają go w pamięci.

Był bardzo dobrym dziennikarzem i człowiekiem absolutnie nieprzeciętnym. Kochał FAMĘ i zdecydowanie zasługuje na to, żeby Nagroda dziennikarska nosiła właśnie jego imię. Nie mam, co do tego wątpliwości.

● Martyna Tomczyk

Marcin zwycięzca

W minioną niedzielę Halę Basenu Północnego wypełniły niezwykle dźwięki Orkiestry dętej, którą brawurowo pokierował Marcin Masecki. Znany kompozytor i pianista w ciągu niecałego tygodnia wraz z muzykami przygotował prawykonanie *Zwycięstwa Wellingtona* oraz autorską symfonię *Zwycięstwo*. Co więcej, z wybornym i niezwykle przyjemnym dla ucha efektem, odhaczając trzecie tego wieczoru zwycięstwo – jako twórcy.

Marcin Masecki, fot. Joanna Kurdziel-Morytko

Monika Stopczyk: Orkiestra dęta powołana specjalnie na okoliczność jubileuszowej, 45. FAMY – tego jeszcze nie grali. Dosłownie i w przenośni. Opowiedz proszę o genezie tego pomysłu.

Marcin Masecki: Pomysł narodził się rok temu podczas rozmowy z Bodkiem Bojczukiem. Grałem wtedy koncert na FAMIE i o ile dobrze pamiętam, przy tej okazji pojawił się temat *Zwycięstwa Wellingtona* Ludwiga van Beethovena i niezwykle ciekawej historii z nim związanej.

Utwór powstał na zamówienie gościa, który skonstruował mechaniczną orkiestrę, czyli taki ogromny wagon z piszczałkami i całym zestawem urządzeń udających instrumenty dęte. Wydarzeniem, które ściśle związane było z powstaniem tej kompozycji, było zwycięstwo armii angielskiej nad armią francuską, której w Wiedniu 1814 roku wszyscy mieli już dość. Duży powód do hucznego fetowania. Niejaki Melcer, konstruktor mechanicznej orkiestry, którą nazwał panharmoniką, przyjaźnił się z Beethovenem i zamówił u niego utwór. Ten napisał partyturę na trzydzieści ekwiwalentów instrumentów dętych, co zostało włożone w wałek, który później napędzał automatycznie cały wagon.

Tuż po powstaniu tego utworu, Melcer poróżnił się bardzo z Beethovenem o prawa do utworu. Twierdził, że miał większy udział w powstaniu kompozycji, więc Beethoven zrobił swój własny aranż tego utworu na „zwykłą”, ludzką orkiestrę symfoniczną i w takiej formie prezentował go przez całe swoje życie. Melcer natomiast jeździł po Europie z grającym wagonem. Żaden z wagonów Melcera (było ich

kilka) niestety nie zachował się. Ostatni został zniszczony podczas II wojny światowej, w bombardowaniu w Stuttgarcie.

Dzisiaj *Zwycięstwo Wellingtona* znane jest w wersji Beethovenskiej, symfonicznej. Nie jest to też utwór często grany, bo w dorobku kompozytora zalicza się go do kompozycji „chałturniczych”. Środowiska akademickie patrzą na niego trochę z góry, ale wspólnie z Bodkiem Bojczukiem stwierdziliśmy, że ciekawym przedsięwzięciem byłaby próba rekonstrukcji pierwotnej wersji. Maszyny nie jesteśmy w stanie skonstruować, ale pierwotną partyturę można już odtworzyć. W rekrutacji do orkiestry wzięli udział muzycy z całego kraju, w znacznej części studenci, ale też w składzie mieliśmy zawodowych muzyków. Powstał organizm, z którym podczas prób usiłowaliśmy odtworzyć sytuację maszynową, pamiętając o detalach. Staraliśmy oczyścić się z rozmaitych manieryzmów, które nabywa się przez lata studiowania gry na instrumentach. Mieliśmy szereg różnych zabiegów i subtelności, którymi próbowaliśmy się zbliżyć do tej maszyny.

Próby do koncertu odbywały się tylko na FAMIE, czy jeszcze przed przyjazdem do Świnoujścia widziałeś się z muzykami?

Nie, nie, dopiero tutaj spotkałem się z całym składem. Prace zaczęliśmy w minioną środę.

Taki koncert w niecały tydzień – niezły wyczyn.

Wiesz, to są muzycy, którzy umieją grać, wszyscy.

Co do tego nie ma żadnych wątpliwości i publiczność zgromadzona w Hali Basenu Północnego raczej podzielała moje zdanie. A była to bardzo niejednorodna grupa – Famowicze, turyści, mieszkańcy. Ludzie mniej lub bardziej osłuchani z klasyką. Powiedz mi, duże znaczenie ma to, czy grasz dla właśnie tego rodzaju słuchaczy, czy np. dla melomanów, dysponujących fachową wiedzą, aparatem pojęć, bardziej wprawionym uchem?

I tak, i nie, bo kiedy mówisz, bierzesz pod uwagę swojego odbiorcę, prawda? Porównując muzykę do języka – słowa dobierasz tak, by zostać zrozumianym. Z drugiej strony, muzyka stanowi autonomiczny byt. Wszystko zależy też od rodzaju muzyki. Taka czysto improwizowana może wchodzić w większą relację z odbiorcą. W przypadku *Zwycięstwa Wellingtona* mieliśmy zapisane nuty i musieliśmy się skupić, by rzetelnie odegrać wszystko jak maszyna. Wszystkie trybiki musiały działać jak należy.

Oczywiście nawet jak jestem odwrócony tyłem do publiczności przez większość koncertu, to jest moment ukłonu, spojrzenia sobie w oczy, powiedzenia paru słów. To są chwile, w których też tworzy się koncert.

Za Tobą cykl koncertów w Warszawie, na Placu Defilad. Zresztą wczoraj, wyjątkowo transmitowany ze Świnoujścia. Ze swoją muzyką wychodziłeś do zupełnie przypadkowej publiczności. Sztuka w przestrzeni codziennego funkcjonowania, wtopiona w tłum. Opowiedz proszę coś więcej o tym przedsięwzięciu.

Wiosną rozmawiałem z moim przyjacielem, Grzegorzem Lewandowskim, który jest właścicielem Baru Studio, o tym, że chciałbym zagrać cykl klasyczny i latem, co tydzień występować w jego knajpie. Początkowo chcieliśmy tak to zorganizować, żeby moje pianino stało z przodu knajpy, żebym grał o jakiejś wyznaczonej porze, w konkretny dzień, ale nie anonsować tego zbyt. Chciałem, żeby było to coś pomiędzy koncertem, a rzezbą. Jakaś taka instalacja z cieciem siedzącym przed drzwiami. Żeby było to niezrozumiałe, a ludzie wchodzili i nie wiedzieli czy mają się zatrzymać i posłuchać, czy iść dalej. Nie do końca udało się go zrealizować w ten sposób, trochę szkoda. W każdym razie, tuż przed pierwszym występem, opublikowaliśmy tylko zapowiedź na Facebooku, nie robiąc żadnej innej promocji. Zastanawialiśmy się, co się stanie, jak ludzie jednak przyjdą posłuchać? Okazało się, że pojawiła się spora grupa - kilkadziesiąt osób, które przyszły na koncert. Wystawiliśmy pianino trochę dalej od drzwi i zaaranżowaliśmy widownię. W ten sposób zrobili się z tego po prostu koncerty plenerowe. Tak, jak mówisz, mamy do czynienia - bo cykl się jeszcze nie skończył, z bardzo zróżnicowaną publicznością i co za tym idzie, ze zróżnicowanym odbiorem. Są dzieciaki, które krzyczą, ludzie, którzy wsłuchują się w każdą nutę, są ludzie, którzy głośno rozmawiają. Rozmawiałem z jedną słuchaczką, która powiedziała mi, że przeszkadzają jej jedzący gofry ludzie. Już takie coś może wystarczyć, by rozbić taką „świętynię”

słuchania muzyki klasycznej. Tej kobiecie akurat taka sytuacja potrafiła zaburzyć możliwość degustowania muzyki, więc bywa to bardzo różnie. Muzyka klasyczna wymaga jednak pewnej wiedzy i doświadczenia bycia z dźwiękiem. Ale jednocześnie kręci mnie to, że wszyscy mają do tego dostęp, że mogą próbować.

Jak Cię słucham, odnoszę wrażenie, że jesteś osobą skłoną do eksperymentowania, do wyłamywania się z ram, schematów. Nawet wczoraj, podczas koncertu, improwizowałeś. Pojawiły się takty, których wcześniej nie przewidzialesz. Często stawiasz takiej sytuacji muzyków, z którymi grasz?

Dodając coś tuż przed koncertem? Nie, ale też dlatego, że nie prowadzę jeszcze często dużych składów. Muzyka, którą gram jest żywa i możemy pozwolić sobie na to, żeby ona żyła, żeby coś zmieniać. Wiesz, wczoraj akurat coś sobie przypominałem i stało się to akurat w ostatniej chwili (śmiech). Ale w sumie tak samo pracowaliśmy na próbach. Pozwalaliśmy sobie na ingerencję w muzykę, sprawiając, że stawała się „nasza”, natomiast nie pozwalaliśmy sobie na to, żeby się czuć z nią niekomfortowo. A to bardzo ważne.

● Monika Stopczyk

Szukanie innej rzeczywistości

W pierwszym tygodniu festiwalowego szaleństwa trwały warsztaty z fotografii kreatywnej, prowadzone przez Tomka Sikorę, uznanego fotografa, wielokrotnie nagradzanego, autora kilkudziesięciu wystaw indywidualnych na całym świecie. Warsztaty opierały się na tworzeniu happeningu, z udziałem młodych fotografów, jak i osób z zewnątrz. Tematem całego projektu była maska.

W życiu cały czas zakładamy różnego rodzaju maski, zmieniając przy tym swoje zachowanie, wygląd. Uczestnicy warsztatów również mogli wcielać się w rozmaite role, wykorzystując przy tym rekwizyt, jakim jest maska.. Warsztaty trwały 5 intensywnych dni. „Praca na zajęciach głównie polegała na tym, żeby nie uczyć techniki, bo nad warsztatem każdy indywidualnie powinien pracować, tutaj chodziło o samo uwolnienie wyobraźni i działania, których zadaniem jest sprawić, że po warsztatach będziemy bardziej odważni w wymyślaniu pomysłów i ich realizowaniu. Dla wielu początkujących, problemem jest fotografowanie ludzi, czyli już automatycznie same pomysły są ograniczone. Jeśli pracujemy nad scenariuszem zdjęcia, które jest bez ludzi, mamy do czynienia z szaleństwem wąskim polem działania. Wspólnie przeszliśmy

przez takie dwie fazy. Uczestnicy fotografowali samych siebie, odbyło się to bez oporu, ale zadaniem było również fotografowanie ludzi z zewnątrz, tak żeby oni o tym nie wiedzieli. Jeśli ktoś chciał, mógł ich zapytać o pozwolenie, oczywiście wtedy osiągaliliśmy zupełnie inny efekt, bo nie widać było prawdziwej relacji między człowiekiem fotografowanym, a osobą która obok niego stała. A zawsze była to osoba, albo kilka osób w maskach.” – przybliżyła całe przedsięwzięcie prowadząca warsztaty, Tomek Sikora. Z początku temat wydawał się uczestnikom trudny, wiele razy przerobiony. „Na początku nie byłam do tego zadania zbyt przekonana. Uważałam, że temat maski już jest trochę przerysowany i wyeksploatowany. Nie miałam na niego pomysłu, ale z każdym dniem odkrywałam, że można coś nowego zaobserwować,

jakoś się w nim odnaleźć. Myślę, że całkiem nieźle sobie z nim poradziłam, jestem też zadowolona ze zdjęcia, które zostało wybrane na wystawę kończącą projekt.” – opowiada Justyna Podolska, jedna z uczestniczek warsztatów.

Tomek Sikora wcześniej wykorzystał maskę w kalendarzu wilanowskim *Maskarada*. Warto podkreślić, że na warsztatach użył tego rekwizytu po raz pierwszy. „Na warsztatach chciałem stworzyć sytuację, w której uczestnicy mogliby uzyskać efekt bardzo plastyczny, bardzo piękny. Uchwycić moment, kiedy ludzie nagle pojawiają się wśród innych i wyróżniają się przez prosty zabieg. To są maski bardzo różne zwierzęce, weneckie. W zeszłym roku ludzie się w różny sposób przebierali, dwa lata temu robiliśmy piaskowe obrazy. Co roku mamy inny pomysł, ale za każdym razem każdy



Tomek Sikora, fot. Adriana Misiek

z fotografów musi wykreować jakąś sytuację albo jakiś pomysł i go zrealizować przy pomocy rekwizytów. Myślę, że był to niezły objazd, warsztatowicze chętnie ukrywali twarze pod maskami, a później chętnie je fotografowali." Znaleźli się również po drugiej stronie obiektywu, będąc dla siebie także modelami. Zostali postawieni w pozycji ofiary, bo osoba mająca w rękach aparat, zawsze jest w przewadze. Tomek Sikora zabieg ten wykorzystał celowo, by nauczyć, jak ważne jest wytłumaczenie osobie, co chcemy pokazać na danym zdjęciu: „Postawiłem uczestników po drugiej stronie obiektywu, aby mogli zrozumieć, jak kłopotliwie może być, jeśli fotograf dokładnie nie objaśni nam sytuacji, w której jesteśmy, nie powie, co mamy robić, kim być, czy mamy kogoś udawać, czy po prostu być sobą. Musi nam stworzyć odpowiednie warunki, itd. Na ogół zmierzam do tego, aby fotografowane osoby były aktorami, odgrywały krótki epizod wymyślony przez fotografa lub wręcz tworzyły happening.”

„Warsztaty nauczyły mnie innego spojrzenia na fotografię, tego, że nie zawsze trzeba szukać sytuacji, ale można ją też stworzyć. Czasem wystarczy wyjść na ulicę z rekwizytem i można coś wykreować, coś surrealistycznego i nietypowego, a przy

okazji zaobserwować reakcje ludzi. To jest niesamowite.” – dzieli się swoimi przemyśleniami Justyna, uczestniczka warsztatów. Zapytałam Tomka Sikorę, czym odróżniają się faworyzowane warsztaty od innych prowadzonych przez niego: „Jest ogromna różnica. W innych miejscach, gdzie prowadzę warsztaty, zajmujemy się tylko fotografią, nie ma wody, nie ma plaży, od rana do wieczora pracujemy. Tu mamy 5 dni, a większość ludzi uczestniczy również w innych zajęciach. Na pewno jest to dla nich męczące, bywa, że nie mają takiej energii kolejnego dnia. Z drugiej strony uważam, że muzyka, spotkania z szaleńcami z różnych innych dyscyplin bardzo ich nakręcają. To są dodatkowe impulsy, które otwierają w człowieku element dekadencji, takiego odizolowania się, odrzucenia wszystkiego, co jest ułożone w głowie i pozwalają podjąć próbę zrobienia czegoś zupełnie nowego. Otwarcie się na szukanie zupełnie innej rzeczywistości, nie tej, do której jesteśmy przyzwyczajeni. To daje FAMA - dodatkowy bodziec.”

Efekt końcowy działań sekcji fotograficznej można było zobaczyć na wernisażu wystawy „Artystyczny wirus Famy”, który odbył się 23 sierpnia w Galerii Miejsce sztuki44. Zostało zaprezentowanych 16 drukowanych fotografii, na telewizorze

możliśmy zobaczyć kilkadziesiąt innych zdjęć nawiązujących do tematu maski. Odbył się również pokaz przygotowanego przez Tomka Sikorę filmu dokumentującego pracę podczas warsztatów. Muzykę do filmu stworzył Marek Straszewski, teksty napisała Renata Plaga. Prace są bardzo zróżnicowane, widać, że każdy z uczestników to indywidualność, na co innego zwracał uwagę, na co innego patrzył, szukał i znajdował w różnych miejscach odpowiedzi. Każdy inaczej zinterpretował maskę, wykreował różne sytuacje. „Zdjęcia wyszły fantastycznie. Byłem zdziwiony różnorodnością podejścia, ale i realizacji. Wybór prac był wspólny, dodam, że nie należał do najłatwiejszych. Po kilkugodzinnych spotkaniach, razem z uczestnikami doszliśmy do konsensusu. Wybraliśmy najlepsze prace. Mimo, że wystawa jest różnorodna, to tworzy pewną całość, bogatą w różnego rodzaju wizje, nie jest jednostronna.” – podsumowuje Tomek Sikora.

● Klaudia Mazur

Nigdy nie byliśmy w górach, a poszliśmy w Himalaje

Father0 to nakręcony w Ośrodku Wychowawczym w Trzebieży, poruszający obraz, w którym młodzi ludzie mierzą się z dorastaniem i trudnym bagażem złych relacji z ojcami. W sobotę w Jazz Clubie Scena miał miejsce oficjalny pokaz filmu. Była to również niepowtarzalna okazja, aby spotkać się z jego twórcami.

Kameralne wnętrza Sceny, które zazwyczaj jest przestrzenią doznań muzycznych, tym razem zamieniło się w prawdziwą kinową salę, po brzegi wypełnioną widzami. Dużą część widowni stanowiła młodzież z odbywającej się właśnie międzynarodowej wymiany, w której biorą udział również wychowankowie Ośrodka. Zjawiła się też całkiem liczna reprezentacja famowiczów, przyszli także mieszkańcy Świnoujścia. Reakcje podczas seansu, były bardzo emocjonalne – od gromkiego śmiechu w sytuacjach naprawdę zabawnych, do skupienia i ciszy, kiedy zabawnie być już przestawało. Natomiast brawa po napisach końcowych zdawały się nie cichnąć.

W filmie obserwujemy wplecione w pewną narracyjną ramę, codzienne życie chłopców z ośrodka, z ich blaskami i cieniami. Twórcy z pieczołowitością odtworzyli rytm dnia wychowanków, dając tym samym widzom przestrzeń do budowania wzajemnego zrozumienia z bohaterami. Problemy im towarzyszące, pojawiają się w filmie niejako mimochodem, między wierszami i rozbudowanymi dialogami. Nie oznacza to jednak, że są to w jakikolwiek sposób problemy błahe. Wręcz

przeciwnie, są tak trudne, że ciężko o nich mówić wprost. Na pierwszy plan, wśród katalogu przeróżnych trudności, wysuwa się kwestia ojcostwa – czym ono właściwie jest w życiu młodego człowieka, jaką dla niego okrywa rolę, jaki pozostawia w nim ślad? Nad tymi pytaniami każdy z widzów będzie musiał pochylić się sam, bo film nie udziela żadnych prostych odpowiedzi i jest to z pewnością jeden z jego największych atutów.

Wszystkie inne, związane z powstawaniem filmu, wątpliwości rozwiewać już mogli sami zainteresowani. Po projekcji, na scenie zasiedli reżyser Konrad Pachciarek, opiekun występującej w filmie grupy ArtCrew, Marcin Głuszyk, a także odtwórca jednej z głównych ról, Mateusz i trzy, również mające swoje ważne role w obrazie, dziewczyny. Wszyscy z wielkim entuzjazmem opowiadali o tym jak dużym wyzwaniem, było dla nich znalezienie się na planie. „Przy pracy nad tym filmem uczyliśmy się pracować w grupie, robić coś razem. To było dla mnie bardzo ważne” – mówił Mateusz. Ludzie z wielkim zaciekawieniem słuchali wypowiedzi twórców i oklaskiwali gości jeszcze długo po spotkaniu.

O tym jak to wszystko się zaczęło i skąd się w ogóle wzięło *Father0* rozmawiam z jego reżyserem i autorem scenariusza, Konradem Pachciarem.

Martyna Tomczyk: Jesteś reżyserem teatralnym, na co dzień pracujesz w Teatrze ABANOIA w Szczecinie. Chciałabym się dowiedzieć jak zaczęła się Twoja współpraca z Ośrodkiem Wychowawczym w Trzebieży.

Konrad Pachciarek: Współpraca zaczęła się sześć, siedem lat temu. Mój przyjaciel z dawnych lat, Marcin Głuszyk, jest wychowawcą w Ośrodku i zaprosił mnie na warsztaty. Pojechałem na nie i zacząłem pracować z chłopakami. Początki były bardzo trudne, ale jakoś na tyle mnie to wciągnęło, że zostałem. Przygotowałem z nimi pierwszy spektakl, potem były kolejne i tak aż do filmu.

Jak doszło do jego realizacji? Skąd ten pomysł?

Uznaliśmy, że jest potrzeba, aby mówić o tym temacie, bo jest dla chłopaków

bardzo ważny. Ich relacje z ojcami właściwie nie istnieją, nie ma ich. Pojawiła się okazja, aby przygotować film. Postanowiliśmy jego scenariusz oprzeć na scenariuszu jednego ze spektakli, dotyczącym właśnie tych relacji. Stąd to się wszystko wzięło. Warto podkreślić, że dla wszystkich – i dla mnie, i dla chłopaków, którzy w filmie wystąpili, była to pierwsza praca na planie.

Mówisz o spektaklu *Father0*, który wcześniej graliście, a na którym oparty został scenariusz filmu. Ile z tego przedstawienia znalazło się ostatecznie w filmie?

Wzięliśmy ze spektaklu parę poszczególnych scen, historię, natomiast w fabule filmowej rozwinęliśmy wiele wątków. Wiele wątków było także dopisywanych w trakcie trwania zdjęć, ze względu na specyfikę tej pracy. Część chłopaków była wywożona decyzją sądu z Ośrodka, część chłopaków dopiero tam trafiała. Jak tylko spotkaliśmy kogoś ciekawego to dopisywałem na planie jakiś wątek, epizod, który nie niszczył oczywiście samej głównej fabuły, ale uznawałem, że jest potrzebny i tak właściwie powstawał scenariusz filmu. Coś z tego scenariusza teatralnego wzięliśmy,

ale na potrzeby filmu został on jednak mocno rozbudowany.

A jak wyglądała już sama praca na planie? Jak wam się to wszystko udało?

Sama praca była wielkim szaleństwem, dlatego że jak się robi film w Ośrodku Wychowawczym, trzeba spodziewać się wszystkiego. Z planu będą zabierani aktorzy, inni chłopcy będą przywożeni. Poza tym nikt z nas nigdy nie robił filmu, nawet nasz operator, który ma na koncie świetne dokumenty, nigdy nie robił fabuły. Ja też nigdy nie reżyserowałem na planie filmowym, nikt z obsady nie występował w filmie. Zabraliśmy chłopaków w Himalaje. Nikt z nas nigdy nie był w górach, a poszliśmy w najwyższe, jakie się da. To, że nikt nie zginął to jakiś cud.

Jesteście już jakiś czas po premierze, prezentujecie film na pokazach. Jaki jest odbiór, jak ludzie na niego reagują?

Najbardziej cieszy mnie, ale też najbardziej dziwi to, że ludzie przyjmują ten film absolutnie osobiście. Jako, że wielu z nich ma jakieś niezłatwione sprawy ze swoimi ojcami, to te rozmowy z widzami, po każdej prezentacji dotyczą spraw takich bardziej

merytorycznych niż artystycznych. Może dlatego że ten film jest taki mocno dotykający. Wchodzi gdzieś tam w głąb odbiorcy i go porusza. Mieliśmy oczywiście jakąś intuicję, przeczuwaliśmy, że ten temat jest ważny dla wielu osób, ale nie spodziewaliśmy się, że reakcje będą takie mocne.

Jakie macie dalsze plany?

Z planów to na pewno teledysk do piosenki, którą można było usłyszeć w filmie. Piosenki, którą nagrali sami chłopcy, do której sami napisali tekst, a która nagrana została w studiu Luxtorpedy. Planujemy też film dokumentalny o naszej pracy, o wymianach międzynarodowych, na których pracujemy i na które zabieramy chłopaków z Ośrodka w Trzebieży.

Film można oglądać za darmo na platformie Kinoplex.pl

● Martyna Tomczyk

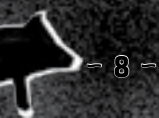
Piętnastu twórców – piętnaście wizji jednej idei

Prywatne utopie, społeczne manifesty, ogólnoludzkie przemyslenia. Powieszone na ścianach, postawione na ziemi, unoszące się pod sufitem. Gdzie można to wszystko zobaczyć? Tylko w Świnoujściu, w Galerii Miejsce sztuki44. Famowiczu, jeśli jeszcze tam nie byłeś – to dziś jest ten dzień, w którym nogi powinny Cię tam same pokierować!

Różnorodność formy, stylu, konwencji – to coś, co czeka odbiorcę wystawy w Galerii Miejsce sztuki44. Sam kurator, Andrzej Pawełczyk, przyznaje, że połączenie finałowych prac w całość składającą się na wystawę poświęconą konkretnej tematyce nie było łatwe. „Można zrobić wystawę, która będzie idealnym odzwierciedleniem idei kuratorskiej, z prac składających się na całość jak puzzle. Byłby to jednak zamach na

indywidualizm artystów. Staram się wypracować kompromis między myślą przewodnią, a tym, co próbują wyrazić autorzy. To jest wystawa piętnastu młodych twórców, a nie jednego kuratora. O tym należy pamiętać w pierwszej kolejności” – mówi kurator. Ci młodzi artyści, co również godne wspomnienia, to wyselekcjonowani spośród około osiemdziesięciu zgłoszeń, najzdolniejsi artyści wizualni w Polsce.

„Formułując ideę określającą tegoroczną wystawę, oczekiwałem: ideologicznych manifestów, krytycznych analiz formułowanych poprzez sztukę, rozumianą jako narzędzie formacji społecznej” – pisze Andrzej Pawełczyk we wstępie do katalogu wystawy. Twierdzi jednak, że jego przewidywania nie znalazły odzwierciedlenia w rzeczywistości nadesłanych pracach. Dlaczego? Brakuje w dzisiejszych czasach głównego nurtu, z którym



można by wchodzić w dyskusję, przeciwko któremu można byłoby się zbuntować. Dlatego prace, które zawisły w Galerii Miejsce sztuki44 stanowią raczej intymne przepracowanie indywidualnych koncepcji utopii.

Co mianowicie można zobaczyć, kiedy przekroczy się próg galerii? Sprawdźmy. Jeśli obejrzemy wystawę muzealnie, okrążając wnętrze, poczynawszy od prawej strony; obejrzymy każdy eksponat po kolei, to zobaczymy różnorakie instalacje, rzeźby i obrazy, układające się w pewną niezbyt oczywistą całość merytoryczną. Jednak umknie nam wtedy obraz całości: perfekcyjnie poskładanej kompozycji, składającej się z prac poszczególnych artystów rozmawiających ze sobą na kilku płaszczyznach, spośród których najwyraźniejszą jest ta czysto formalna, estetyczna. Spróbujmy jednak dla porządku po krótko opowiedzieć sobie o pracach „metodą muzealną” – nie zapominajmy jednak przy tym, że holistyczne spojrzenie na wystawę doda jej kilku smaczków.

Pierwsza i jedna z ciekawszych prac, którą można zauważyć po wejściu do galerii, jest instalacja Pawła Dudki „i-ty”. Zwiedzający wystawę mogą przełożyć głowę przez specjalnie przystosowany do tego otwór. Gdy to uczynią, zostanie im zrobione i wyświetlone naprzeciwko zdjęcie. Będzie ono jednak nałożone na zdjęcia wszystkich poprzedników. W ten sposób powstaje twarz, która jest jednocześnie twarzą każdego człowieka, jak i twarzą nikogo. Robiący zdjęcie staje się n-tym elementem układanki. Dorzuca swoją twarz do innych, zlewa się i unifikuje.

Obok instalacji Pawła Dudki można zobaczyć rzeźby Katarzyny Bakuły pt. „Interpretacja snu”. Forma, która może uchodzić za niezrozumiałą, zdaje się nawiązywać do idei Jarosława Kozakiewicza, który w 2005 roku na

podstawie analizy sfilmowanych ruchów śpiącej kobiety zaprojektował budynek kina w kształcie nieregularnej bryły. Ta abstrakcyjna forma jednocześnie wpisuje się w kolorystykę znajdujących się obok, zachwycających obrazów Agaty Szymanek oraz Moniki Panek, stanowiąc ich świetne dopełnienie estetyczne.

Jedną z bardziej kontrowersyjnych prac to obraz „Solidarność społeczna”, stanowiący trawestację słynnego dzieła Wróblewskiego pt. „Rozstrzelanie surrealistów”. Prace grupy Simpson zaopatrzone w rekwizyty zaczerpnięte z popkultury mają być wypowiedzią krytyczną na temat kondycji państwa polskiego, sytuacji ekonomicznej i demograficznej, w jakiej się znajduje oraz podziałów społecznych. Obraz ten stanowi swoistą barierę kolorystyczną wystawy. Wprowadza barwy, których ilość maksymalizuje się w bajkowej instalacji Patrycji Piwosz. Prace PiPy – jak podpisuje się autorka – to w założeniu kolorowe kokony, do których można wejść, odgradzając się od świata, sprawiając sobie dodatkową barierę między zewnętrznym „tam” a wewnętrznym „tu”. Gdy instalacja jest interaktywna (na wystawie „Ziemia obiecana” niestety kokony zostały wypełnione – do większości z nich nie można wchodzić), zmienia się z pop-artowej zabawy w psychologiczny eksperyment. Okazuje się bowiem, że gdy zwiedzający mają możliwość wejść do kokonów, ich wybory bywają zaskakujące. Mężczyźni częściej wybierają ciepłe, pachące kołderki; kobiety zaś – groźnie wyglądające kokony obszyte futrem, niczym wizualizacje koszmarów.

Jedną z bardziej zaskakujących i conceptualnych prac okazała się instalacja Moniki Szpener pt. „Technopark”. Składa się na nią umieszczony na ścianie tłum małych

ludzików z plastiku. Praca ta, wydawałoby się, koresponduje z instalacją Pawła Dudki – mówi o unifikacji w tłumie, o zatracaniu tożsamości. Nie zawiodła również Irmina Rusicka – wzbogaciła wystawę o uderzającą pracę „I have a dream”. Marzycielski tytuł zwizualizowany został poprzez kolorowe balony wypełnione helem. Jak się jednak okazało, tytułowe hasło to jedynie świat idei, rzeczywistość zaś pozostawia wiele do życzenia. Na końcu każdego balonowego sznurka znalazło się zdjęcie powieszonoego czarnoskórego mężczyzny.

Chłodne, wyciszone malarstwo Katarzyny Celek obrazuje samotność i poszukiwanie tożsamości. „Pleśń” Małgorzaty Łojko są ładne, ale trujące – dokładnie tak, jak pleśń na skórce chleba; dokładnie tak, jak współczesny konsumpcyjny świat. Na samym środku wystawy zaszokować może jeszcze reinterpretacja odwiecznego motywu piety, zrealizowana przez Kornelię Dzikowską. Chłodne spojrzenie odporne już na wszystko kobiety przesywa odbiorcę.

Nie o wszystkich twórcach udaje się opowiedzieć w krótkiej relacji, dlatego koniecznie należy udać się do Galerii Miejsce sztuki44 i zobaczyć wystawę „Ziemia obiecana – podróż do granic Utopii” osobiście. Każdy, kto zostanie w Świnoujściu do końca FAMy będzie miał ku temu okazję. Wystawa zostaje w mieście aż do 26 września. Jest to, jak sądzę, jedno z najciekawszych (jeśli nie najciekawsze) wydarzeń Festiwalu. Jeśli jeszcze Cię tam nie było – nie omieszkaj zajrzeć.

● Zuzanna Sala

Facet z wykrywaczem

Szymon Piasta, z FAMĄ związany od ponad 5 lat. Zajmuje się szeroko pojętymi mediami, fotografią, filmem. Tworzy instalacje, grafiki cyfrowe, scenografie teatralne, murale. Pracuje w Katedrze Mediów Cyfrowych i Fotografii na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego. W tym roku powraca na Oflag z kolejnym projektem w przestrzeni miejskiej.

Czy mógłbyś przybliżyć naszym czytelnikom jak rozpoczęła się Twoja przygoda z FAMĄ?

To było ciekawe wydarzenie. Trafiłem na FAMĘ całkiem przypadkiem. Tak się składa, że na uczelni, na której pracuję zawsze jest dużo interesujących rzeczy do zrobienia i ja po prostu w nich uczestniczę. Może jestem mało asertywny, a może lubię to robić. Ktoś mnie zauważył i zaprosił na Festiwal. Działam w ten sposób, że zawsze staram się dobrać sobie ludzi, aby byli w stanie również pilotować dany projekt.

Istotne jest dla mnie to, żeby czynnie uczestniczyli w realizacji mojej wizji, zobaczyli, jak to w praktyce wygląda, aby każde kolejne przedsięwzięcia w przyszłości nie były już ich pierwszymi.

W 2011 zostałeś laureatem FAMy w kategorii sztuki plastycznej. Możesz przybliżyć szczegóły tego projektu?

Robiliśmy wtedy wideo wizualizację, która stanowiła tło podczas koncertu finałowego. To była animacja poklatkowa. Musieliśmy

sfotografować 2,5 tys. budynków w Świnoujściu. Wizualizacja przez nas zrobiona miała zgrywać się z muzyką, a cała trudność polegała na tym, że w trakcie montowania animacji, nie znaliśmy jeszcze muzyki. To był bardzo enigmatyczny projekt, a przede wszystkim bardzo czasochłonny, ale na szczęście wszystko się udało.

Skąd czerpiesz inspiracje do swoich realizacji?

Z życia. Od 2006 roku zajmuję się projektem „Z pamięci swojej wykroje”. To moja artystyczna działalność, niezwiązana z FAMĄ, opierająca się na grafice z elementami fotografii. Całość stanowi sentymentalny powrót do przeszłości. W pracach wykorzystuję swoje wspomnienia, impresje związane z konkretnymi osobami, sytuacjami. Inspiracją famową, było pierwsze zdanie, które przyszło mi do głowy, gdy tu przyjechałem i zobaczyłem ścianę, na której powstanie mural. Pomyślałem, że FAMA jest tutaj 2 tygodnie, a dzieciaki z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego przez 12 miesięcy. Postanowiłem zrobić coś, co sprawi, że ich codzienna przestrzeń nabierze kolorów. Mural z jednej strony jest kontynuacją zeszłorocznej pracy, krokodyla na zewnętrznej ścianie Oflagu, ale nawiązuje

jednocześnie do mojego autorskiego projektu, o którym wspominałem Ci przed momentem. Trochę wracam do lat mojego dzieciństwa, do szarych murów podstawówki. W moim działaniu ważne jest, aby podnosić sobie poprzeczkę, wykazywać różnorodność. To nie jest pokaz stylów, czy umiejętności graficiarza, staram się tak

skonstruować swój mural, aby stanowił uzupełnienie przestrzeni miejskiej.

Jak wygląda u Ciebie proces twórczy?

Zawsze są dwie kluczowe kwestie. Pierwsza, organizacyjna, czyli znalezienie kogoś, kto mógłby sfinansować dany projekt. W tym przypadku nie są to małe kwoty, bo malujemy bardzo dobrymi farbami. Druga sprawa to wszystkie zezwolenia i formalności. Na szczęście Pani Dyrektor Ośrodka jest bardzo otwartą i przychylną naszym działaniom osobą, do tego stopnia, że nawet nie wymagała od nas wcześniejszego przedstawienia projektu. Zeszłoroczną współpracą zapracowaliśmy sobie na jej zaufanie. Bardzo to doceniam, ale warto zaznaczyć, że jest to pewnego rodzaju obciążenie - chciałbym sprostać oczekiwaniom.

Jak murale zmieniają przestrzeń miasta? O co ją wzbogacają?

Warto zadać sobie pytanie, dlaczego ludzie dekorują sobie dom - bo chcą się w nim dobrze czuć. Stwarzają sobie miejsce, w której jest inaczej. Ten dom staje się swoistą enklawą. Wydaje mi się, że tak samo dzieje się z miejską. Każdy z murali zmienia otoczenie, staje się ona „jakieś”, nie chcę mówić „jakie”, bo dla każdego jest inne. Z jednej strony jest to element dekoracyjny, a z drugiej strony wytwarza się pewnego rodzaju energia.

Jak ludzie reagują na to, co robisz?

Wydaje mi się, że chyba każdy, kto pracuje w przestrzeni miejskiej

w dziedzinie związanej ze sztuką i kulturą, spotyka się ze wszystkimi rodzajami odbioru, jakie tylko są możliwe. Nie mam żadnych negatywnych przygód, wręcz przeciwnie. W tym roku malujemy tutaj na Oflagu, wśród famowiczów, jest to taka nasza zamknięta przestrzeń. W zeszłym roku sytuacja była zdecydowanie inna. Malowaliśmy na zewnątrz budynku, cały czas byliśmy widoczni dla mieszkańców Świnoujścia. Muszę przyznać, że spotkaliśmy się z bardzo pozytywnym odbiorem.

Z murali, które masz za sobą, który wspominasz najlepiej - który według Ciebie był najlepszą realizacją?

Pod wieloma względami krokodyl, mural w ramach FAMY 2014. Ze względu na atmosferę i klimat, jakie towarzyszyły tworzeniu, a przede wszystkim za sprawą ludzi, z którymi pracowałem. Muszę przyznać, że była to zupełnie inna galaktyka, takiego zrozumienia i frajdy z malowania, po prostu czystego fun-u. Zrobiliśmy ten mural w 4 dni, pracowaliśmy od rana do późnych godzin nocnych. Takie przeżycia automatycznie scalają ekipę.

A co w takim razie daje Ci praca wykładowcy?

Samorealizację. Studenci to doceniają, widzą, że to, co robię mnie cieszy i staram się rozwijać. Dzięki temu dostaję komunikat zwrotny w postaci przygotowanych i pełnych energii ludzi. Uczę moich studentów, że warto się odważyć i spróbować. Na przykład dziś stałem pod ścianą i podeszła do mnie dziewczyna. Zaczęła opowiadać, jak bardzo imponuje jej to, co robię i że chciałaby zacząć rysować. Najdziwniejsze jest to, że ona chce, ale nic z tym nie robi. Po prostu trzeba podejmować próby i dążyć do bycia najlepszym w swojej dziedzinie. Oczywiście potrzeba dużo wytrwałości i samozaparcia, ale najważniejszą rzeczą w sztuce jest dociekliwość. Na początku trzeba zadać sobie pytanie: Po co to robię? A później po prostu zabrać się do pracy.

Jakie są Twoje plany na przyszłoroczną edycję FAMY?

Mam już pewną wizję, ale nie chciałbym zdradzać szczegółów. Chcę zrobić coś dużego, multiplikację różnych rzeczy. Będzie to na pewno związane z muralami, być może z grą miejską. Pomyślałem, że na FAMIE jest trochę mało intermediów, dlatego też chcę stworzyć wirtualną zabawę, ale nic więcej nie zdradzę.

Jaki jest tytuł tegorocznego muralu?

Dobre pytanie. A jaki chciałabyś żeby był? Lubię stawiać na dowolną interpretację. Uważam, że miejsca mają jakąś energię, muzyką słyszysz, plastik widzi, fotograf zobaczy ją w kadrach. Mieszkaniec, nie zajmujący się na co dzień sztuką, również odbiera ją po swojemu. Moja wizja polega na tym, że wszędzie są kolory i one po prostu są gdzieś zakopane. Trochę jak z FAMĄ, gdzie zbierają się ludzie z całej Polski, i przez 2 tygodnie kumuluje się energia. Tak też jest z kolorami, one gdzieś sobie siedzą i ja tylko pomagam im wyjść - trochę jak facet z wykrywaczem. A kluczem, aby się w tym wszystkim odnaleźć jest bycie otwartym na wszystko i na wszystkich. Przyjeżdżasz na FAMĘ i to się po prostu dzieje.

● Klaudia Mazur

Kwestionariusz Podróżnika Literatury

9 W ostatnią sobotę odbyło się drugie spotkanie z cyklu „Miejsca literatury”. Tym razem gościem Darka Foksa był dziennikarz, pisarz i publicysta Michał Olszewski. Autor m.in. *Zapisków na biletach* (2010) i *Najlepszych butów na świecie* (2014). Tegoroczny laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki.

Martyna Tomczyk: Czym dla Pana jest podróż?

Michał Olszewski: Koniecznością. Koniecznością i nieodłącznym, niesłychanie istotnym elementem życia. Ja mam coś takiego we krwi jak marynarz, który zbyt długo przywiązany do lądu zaczyna szukać miejsca gdzie się coś chwieje i niekoniecznie jest to tawerna. Jak zbyt długo nigdzie nie wyjeżdżam, nawet niech będzie, że to jest podróż z Krakowa do Myślenic, to się czuję jakoś nieswojo.

Jak doświadczenie podróży przekuwa się u Pana w literaturę?

Pewnie na kilku poziomach. Po pierwsze, podróże po kraju pokazują jak niesłychanie interesującym, wielobarwnym, rumianym (jak mówiłem już podczas spotkania), zdumiewającym, wkurzającym krajem jest Polska. To jest niesłychanie ciekawy kraj. Można się dowiedzieć o tym tylko wtedy, kiedy się jeździ. W telewizorze tego nie widać. To jest kraj wielopoziomowy, o dziwnej, zawikłanej strukturze. To jest kraj, który można odkrywać bez końca.

Kiedy po ostatnim spotkaniu rozmawiałam z Panem Krzysztofem Środą, mówił on, że tę podróż, z której potem rodzi się literatura, czuję się dopiero wtedy, kiedy jest się w obcym dla siebie miejscu i doświadcza czegoś na kształt oderwania od rzeczywistości, że wtedy widzi się lepiej. Pan natomiast znany jest najbardziej ze swoich reportaży o Polsce. Czym się różni od siebie podróże do dalekich krajów i podróże tu, na swoim terenie?

Tutaj rozumiem znacznie więcej niż w każdym z krajów, w których byłem, nawet w tych, które wydaje mi się, że jakoś tam znam. Byłem w Ameryce, trochę interesuję się Stanami Zjednoczonymi, i to była wspaniała podróż, ale wiem, że to nigdy nie będzie kraj, który będę mógł spenetrować tak dogłębnie jak Polskę. Interesuję się Wchodem i często odwiedzam Ukrainę, byłem w Rosji, w Azji Centralnej, ale to nigdy nie będzie to. Marcin Świetlicki powiedział kiedyś, że nie mógłby wyjechać zagranicę, ponieważ jest poetą języka polskiego i on żyje w języku polskim. Ja mógłbym wyjechać zagranicę, mieszkać zagranicą, ale jeżeli chodzi o zrozumienie kraju, takie dogłębne, zniuansowane, sproblematyzowane,

to jedynym krajem, o którym mogę, jestem i będę w stanie powiedzieć stosunkowo dużo jest Polska.

Czy czytanie książek może być formą podróżowania?

O tak. Czytanie książek to jest taki niesłychany dar, dzięki któremu podróżujemy siedząc w fotelu. Przeżywamy kilka żyć jednocześnie. Właściwie książki odkrywają nam nieskończoną perspektywę, jak w powieści szkatułkowej – założmy, że nasze życie jest tą największą szkatułką, otwieramy książkę i okazuje się, że przed nami ziemia nieznana.

Jaki jest następny krok w Pana literackiej podróży, wydawnicze plany?

Chciałbym wydać książkę o dziennikarzu, który oszalał.

FAMA to festiwal studentów. Co mógłby Pan powiedzieć młodym ludziom wchodzącym w świat literatury czy dziennikarstwa?

Żeby nie przejmowali się niepowodzeniami, żeby próbowali jak najwięcej, żeby uzbroili się w cierpliwość i mieli skórę nosorożca. Same takie banały, ale na nich powinno się fundować początek drogi czy to w literaturze, czy to w dziennikarstwie. To są trudne, naznaczone wysokim ryzykiem porażki profesje i czasami trzeba mieć właściwie ludzką cierpliwość, żeby je uprawiać. Ale warto to robić.

Dziękuję za rozmowę.

Kwestionariusz Podróżnika Literatury to autorski cykl rozmów z gośćmi literackiego projektu FAMY „Miejsca literatury”, w którym idąc tropem autorów tegorocznego tematu przewodniego, rozważaliśmy kwestie podróży. Takiej w rozumieniu dosłownym i tym niekiedy mniej oczywistym. Chcieliśmy się dowiedzieć gdzie kończy się podróż, a zaczyna literatura i czy to zawsze się tak płynnie ze sobą łączy. Poprzednią rozmowę, z pisarzem i filozofem Krzysztofem Środą, można przeczytać w drugim numerze „Fumiasta”.

● Martyna Tomczyk

Bardzo zdolni szansoniści o słowie w muzyce

W poniedziałek, w Miejskim Domu Kultury odbył się koncert „Bardzo zdolni szansoniści”, w którym famowi muzycy zaprezentowali swoje aranżacje piosenek z repertuaru Renaty Przemyk. Na scenie wystąpili: Olandra, Patrycja Witkowska z Sauté, Suzia, Paweł Izdebski oraz Ralph Kamiński.

Renata Przemyk odnosiła pierwsze sukcesy w latach 90-tych właśnie na FAMIE, a tytuł koncertu pochodzi od przewrotnej nazwy pierwszej płyty artystki *Mało zdolna szansonistka*. W twórczości Renaty Przemyk bardzo istotne jest słowo, co zainspirowało mnie do rozmowy z szansonistami właśnie o słowie w muzyce.

Weronika Bukowska: Jak ważne są dla was słowa w piosence?

Paweł Izdebski: Gram od dziesięciu lat. Przez pierwsze osiem byłem pewny, że chodzi o muzykę, a słowa są tylko dodatkiem. Dopiero niedawno to się zmieniło i uznałem, że słowa są najważniejsze, a muzyka je dopieszcza.

Patrycja Witkowska: Słowa znaczą dla mnie wiele. Są jak scenariusz, a muzyka to dodanie obrazu tworzącego razem pełnie przekazu.

Coraz częściej polscy artyści tworzą po angielsku. Wielu młodych ludzi, słucha zagranicznych zespołów. Nawet, jeśli świetnie znają ten język, to pozostaje bariera niezrozumienia, chociażby kontekstu kulturowego, w którym są osadzone słowa. Ludzie zaczynają słuchać muzyki, w której teksty są nieistotne i banalne. Słowa schodzą na drugi plan. Czy uważacie, że tekst piosenki jest nadal ważny?

Olandra: Wydaje mi się, że traci na znaczeniu, ale należy z tym walczyć. To jest nasz obowiązek jako twórców.

Patrycja Witkowska: Dla mnie mają ogromne znaczenie. Z biegiem lat jednak rozumiem, że każdy szuka czegoś innego w muzyce. Jedni potrzebują zrozumienia, drogowskazu, miłości, piękna, a inni szukają - jedynie i aż - poprawy nastroju, pobudzenia i wtedy słowa tracą znaczenie. To najważniejsze, żeby każdy człowiek bez względu na płeć, czy poziom świadomości znajdował coś, co doprawia mu smak życia na tej ziemi.

Suzia: W przypadku polskiej muzyki mam wrażenie, że wchodzimy na ogólny debilizm. Bardzo jesteśmy zapatrzeni na Zachód i staramy się naśladować te wszystkie anglojęzyczne motywy. O ile kiedyś

w takim tradycyjnym bluesie, czy jazzie to miało sens, o tyle teraz już nie ma. Kiedy biorę gitarę do ręki, to najważniejsze jest dla mnie, żeby ludzie słyszeli to, co mam do powiedzenia.

Dlaczego tworzyliście/tworzycie w języku angielskim?

Olandra: Po pierwsze, jest łatwiej. Jest inna melodyka języka, inaczej rozkładają się akcenty. W języku polskim, żeby napisać dobrą piosenkę, musi się zgadzać liczba sylab, dobrze jak pojawią się rymy. Angielski jest dużo bardziej elastyczny.

Paweł Izdebski: Tylko dlatego, że słuchałem zespołów zagranicznych. To byli moi bogowie, moja inspiracja i chciałem być jak oni. Nie musiałem wiedzieć, o czym śpiewam, to było nieistotne. Chciałem zrobić karierę międzynarodową. Zacząłem śpiewać w języku angielskim nawet go nie znając. Zacząłem grać i naśladować moje ulubione zespoły. To nie był angielski, raczej udawałem, że śpiewam w tym języku.

Suzia: Zaczęłam pisać po angielsku z lęku. Dlatego, że bałam się mówić po polsku o uczuciach. Łatwiej mówić o tym w obcym języku. Można się schować za niewidzialną barierą niezrozumienia. Zagraniczne zwroty dobrze maskowały rzeczy, których nie chciałam mówić głośno po polsku. Dopiero z czasem musiałam się nauczyć pokory i rozumiałam, że ten angielski to wcale nie ja. Nawet zmieniała mi się barwa głosu i śpiewałam inną techniką. W języku polskim już nie da się takich rzeczy ukryć. Albo jesteś autentyczny w tym co robisz i ludzie to kupują, albo stwierdzają, że to jest do niczego i wychodzą z sali.

Dlaczego, w takim razie, zaczęliście pisać po polsku?

Paweł Izdebski: Rok temu na warsztatach Mietek Szcześniak zapytał nas jak my możemy dobrze śpiewać w obcym języku, skoro nie potrafimy w swoim własnym? Zawsze chciałem śpiewać po angielsku, by być taki



„zachodni”. Chciałem robić międzynarodową muzykę. Dopiero potem zrozumiałem, że ja tylko łąpię angielskie słowa tak ogólnie. Kiedy mam słowo „cat”, to widzę kota, a kiedy w polskim użyję słowa „kot”, to widzę tego kota leżącego na parapecie, lub na moim łóżku. Chodzi o wyobrażenie, jednak w ojczystym języku słowo ma więcej znaczeń niż w obcym.

Suzia: Czy można wyrazić siebie w języku angielskim, kiedy jest się Polakiem? Mam wobec tego mieszane uczucia. Jeżeli tekst jest po angielsku, to często staje się ozdobą do muzyki. To nie jest nasz ojczysty język.

Jak wyglądały Wasze początki w pisaniu po polsku?

Ralph Kamiński: Potrzebowałem dużo czasu, żeby dojrzeć, żeby znaleźć swój klucz na pisanie po polsku. Bo to jest bardzo ważne, żeby znaleźć swój klucz i się odważyć.

Paweł Izdebski: Pisanie to jest nic innego, jak nauka gry na instrumencie. Trzeba napisać sto tekstów, które będą słabe, żeby ten sto pierwszy był przeciętny, a tysięczny zajebisty.

Suzia: Przyznam szczerze, że pierwszymi podporami w pisaniu po polsku był rap. Zaczęłam się oswajać z rytmiką słowa, potem z rymami, a potem ze słowami, jakich można używać. Faktycznie w szybkim tempie zaczęłam przekładać myśl na papier.

Dlaczego warto śpiewać po polsku?

Olandra: Nie wiem, czy do tego dorosłam, ale zaczynam w to brnąć. Nie chcemy, żeby nasz język zaczął obumierać w sferze sztuki, prawda? Nie jestem zwolenniczką ograniczania się do jednego języka, ale trzeba zadbać o własne podwórko.

Suzia: To jest dobre ćwiczenie dla każdego, młodego piosenkopisarza. To jest duże i bardzo rozwijające wyzwanie. Pozwala się pogodzić z faktem, że jednak Polska jest naszą ojczyzną. Stąd pochodzimy, tu jest nasza kultura, nasza historia. Uważam, że trzeba dbać o język, trzeba go pielęgnować. Zwłaszcza w takich czasach, kiedy jest zasypywany makaronizmami.

• Weronika Bukowska

Kolonie dla dorosłych

„Jesteś najpiękniejsza na całej kolonii, mamy po piętnaście lat. Napisałem ci piosenkę, którą bardzo kieszko gram...” śpiewała Sekcja Muzyczna Kołłątajowskiej Kuźni Prawdziwych Mężczyzn w pierwszy famowy wieczór. Piosenka nieprzypadkowa, gdyż często pojawiają się porównania, FAMY do kolonii dla dorosłych. Kolonie, na których króluje dobry humor, kreatywność i dowolność ubioru. Dlatego ubrana w piżamę i zawinięta w koc udaje się na Oflag, by pozbiierać od famowiczów kolonijne wspomnienia.

Senny Tour de Oflague

„Na kolonie jeżdżę od szóstego roku życia, z chęcią coś poopowiadam!” – z uśmiechem na ustach jedna z biurw siada obok mnie i rozpoczyna anegdotę. „Na jednym z obozów sportowych w Kozienicach postanowiliśmy urozmaicić nasz pobyt pewnym planem. Jak to na takich wczasach bywa, wszyscy zostali zakwaterowani w jednym ośrodku, były to domki letniskowe. Ustaliliśmy z koleżankami, że każdej nocy będziemy spać... w innym miejscu. Podczas dziesięciodniowego pobytu potrafiłszy odwiedzić nawet pięć lokalizacji. Co najzdolniejsi praktycznie nie mieli swojego łóżka i codziennie gościli u innych. Roztropność powodowała, że zawartość walizki również rozprzestrzeniała się po całym obiekcie. Tu skarpetki, tu rękawiczki, tu koszulka” – wspomina ze śmiechem. Tak samo bywa na FAMIE, gdzie długie nocne rozmowy o kulturze i sztuce połączone ze zmęczeniem sprawiają, że w jednym pokoju śpią przedstawiciele różnych sekcji. „Na mojej kolonii, przez te ciągłe migracje bywało tak, że w cztery osoby musiałyśmy pomieścić się na dwóch łóżkach. Zupełnie jak na Oflagu! W końcu trzeba gdzieś pomieścić tych waletów” – śmieje się.

Większość klimatu kolonijnego wprowadza na Piastowską sekcja animacji kultury, która

organizuje wiele wydarzeń integracyjnych, jak poranny rozruch, śniadanie na trawie czy warsztaty pieśni weselnych. Sama wspominam podobne zabawy z dzieciństwa, kiedy to opiekunowie zabrali nas na plażę, by wspólnie zjeść kolację, czy uczyli „Belgijki” – tańca grupowego. Mimo, że teren nie pozwala nam na rozpalenie ogniska, to śpiewy przy akompaniamencie gitar wybrzmiewają każdej nocy, a ogień zastępują nam świecące kule od ULTRA.

Syndrom pokolonijny

Tomek na kolonii był tylko raz, jednak na moje pytanie o związki FAMY z obozami w dzieciństwie znacząco przytakuje głową. „Zabawne, że o to pytasz, bo ostatnio miałem prawdziwe *deja vu*! Podczas spontanicznego wyjścia na plażę wczorajszej nocy, przy śpiewach i tańcach przypominały mi się czasy kolonii, kiedy to opiekunowie, w ramach „chrztu bojowego” zabrali nas właśnie na promenadę. Było to wielkie przeżycie dla mnie, jako ośmiolatka i dzięki FAMIE te wspomnienia wróciły”. „Poza tym, słynne stołkówkowe obiady!” – wcina się jego koleżanka z sekcji. „One mają swój klimat. Wydaje się, jakby na wszystkich obozach gotowały te same panie. Pora popołudniowa, gdy wszyscy gromadzą się przy wspólnym posiłku to także doskonała

okazja do poznawania nowych znajomych, których zyskujesz tak wielu, że kilkukrotnie pytania o imię nie są niczym dziwnym. Przebywanie w tym samym towarzystwie 24 godziny na dobę przez dwa tygodnie sprawia, że stajemy się jedną rodziną, od której trudno potem się oderwać.” Zupełnie jak na FAMIE. Zawsze po powrocie dopada mnie taki syndrom pokolonijny, czyli wielka tęsknota za tą całą atmosferą, wspólnym muzykowaniem, przebywaniem. Najgorsze są poranki zaraz po powrocie do domu, bo ta domowa wygoda przez moment mi przeszkadza. Łóżko za wygodne, śniadanie przy stole. No i to śniadanie na trawie, a nie po przespanej nocy...

FAMA mimo wszystko ma swój charakterystyczny klimat, który można odczuć dopiero po spędzeniu kilka dni na Oflagu – i chociaż średnia wieku uczestników Festiwalu to dwadzieścia parę lat, każdy jest tu pewny, że za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat będzie go wspominać tak samo, jak teraz kolonie z czasów dziecięcych. Chociaż nie każdy zgadza się z tematem tego artykułu. „FAMA to kolonie dla dorosłych? No co ty!” – zaprzecza Michał, który już trzecią godzinę uczestniczy w spontanicznym Jam Session. „Na koloniach przynajmniej miałem czas, by pójść na plażę...”

• Natalia Kowalczyk



Dzika ekspedycja

Redaktor Dzik na tropie Złotych Trufli.

Jestem tutaj już jakiś czas. Codziennie wstaję rano, wyciągam raciczki i idę do wspólnej łazienki. Tam, przed lustrem poleruję swoje kły. Trochę ten Festiwal odbił mi się na twarzy. Pod oczami znajduję nieprzespane noce na Oflagu. Chociaż, właściwie nocą powinien nosić nazwę on-lag. W kręgosłupie łupie. Chyba nie zaprzyjaźnił się ze szkolną podłogą. Raciczki trochę przykurzone od ciągłego dreptania aż mi wyliniało futerko od tych wrażeń.

Ale co tam. Było warto. Wędrować aż od Hali Basenu Północnego, po plażę. Zaliczać po drodze wszystkie koncerty i wernisaże. Śpiewać do rana przy dźwiękach bębenków i gitary. Tak, wreszcie ktoś przywiózł bębenek!

Ostatnio sporo się napracowałem. Sekcja dziennikarska wyeksponowała mnie na wyprawę w poszukiwaniu Złotych Trufli. Zacząłem od biura. Mimo, że dziewczyny potrafią rozwiązać każdy problem, tym razem nie były w stanie mi pomóc. Następnie skierowałem swoje kroki na dziedziniec. Tam jeden z grafików powiedział mi, żebym poszedł nad morze. Na świnoujskiej plaży spotkałem sekcję fotograficzną w maskach. Faktycznie, powiedzieli mi, że wyłowili jedną trufkę z wody i mogą mi ją oddać. Dwie następne znalazłem w instrumentach orkiestry dętej. O istnieniu trufli nie wiedział chyba nawet Masecki. Schowałem je szybko za pazuchę i uciekłem. Redaktor naczelna wyznaczyła mi termin do rana, ale jak tu nie pójść wieczorem do Sceny? Zarzuciłem na chwilę poszukiwania i poszedłem dziko się zabawić. Po koncertach miałem ruszać z powrotem w miasto, gdy nagle podchodzą do mnie Suzia i Paweł Izdebski. Wręczają mi Złote Trufle, mówiąc: „Koncert był tak wspaniały, że przy okazji wyśpiewaliśmy dwie następne”. Brakowało mi już tylko jednej! Zacząłem krążyć nie tylko po Oflagu.

Poszedłem do Amfiteatru, Miejskiego Domu Kultury, dodreptałem nawet do Hali Basenu Północnego. Węszyłem, rozkopywałem raciczkami ziemię, krążyłem po Świnoujściu całą noc. I nic! Usiadłem zrezygnowany na ławce, przed szkołą. Wstawało słońce i już byłem pogodzony z porażką, gdy nagle patrzę, nie wierzę własnym oczom! Coś mieni się w śpiworze jednego z waletowiczów. Tak to ona! Ostatnia trufla została znaleziona. Mogłem w końcu położyć się spać.

Mieście się na baczności! Spośród wszystkich gatunków dzików sekcja dziennikarska wyłoni laureatów, którzy otrzymają Złote Trufle – Nagrody dziennikarzy magazynu „Famiasto”. Nagrodzimy najlepszy festiwalowy debiut, osobowość, wybierzemy przebój FAMY 2015. Swoich faworytów wskażą również Redaktor naczelna oraz czytelnicy. Specjalne wyróżnienie przyznam i ja, za dzikość serca na FAMIE. Zwycięzców poznamy w czwartek wieczorem, w Jazz Clubie Scena.

Tymczasem przechadzam się wśród famowiczów, w poszukiwaniu prawdziwego dzikusa. Jest ich tutaj cała masa i już żałuję, że nie będę mógł wręczyć nagrody osobiście. Z końcem festiwalu wzywają mnie moje, leśne obowiązki. Będę zbierać trufle, ryc w ściółce i liczyć żółędzie, ale kiedyś przycupnę sobie na kamyczku i z łezką w oku pomyślę o FAMIE. Przypomnę sobie rozmowy do rana i nieprzespane noce na Oflagu, wspaniałe koncerty, jam session, wystawy... Znów usłyszę w głowie dźwięk bębenka i gitary. Na szczęście ktoś przywiózł bębenek!

Odmeldowuję się!

● Redaktor Dzik

Starzy Znajomi

Jak Ryba na squocie

Przed siedmioma laty na FAMIE zaistniała postać, której raczej się nie zapomina – Robert „Ryba” Rybicki. W 2008 roku otrzymał Nagrodę im. Mariana Redwana za poziom prezentowanych tekstów i całokształt prac związanych z literaturą na Festiwalu. Już wtedy miał za sobą publikację dwóch tomików poetyckich: *Epifanii i katatonii* oraz *Motta robali*. Po FAMIE zaistniał w różnych środowiskach literackich, wielu pamięta go z cyklu charakterystycznych felietonów w „Ha!arcie” pt. „Przewodnik po człowieku”, w których opowiadał o wszystkich najbardziej tabuizowanych elementach człowieczeństwa językiem absolutnie wyzbytym ograniczeń. Czyli takim jak zwykle – można by się zachnąć, wcale nie bez racji. Narzędzie pracy Ryby – jego język – jest bowiem wyraziste, bezpośrednie i abstrakcyjne. To coś, co wyróżnia go na tle innych poetów. W ostatnim czasie odnosił również sukcesy na polu międzynarodowym. W 2014 roku wydał dwujęzyczny (polsko-czeski) tomik *Dar meneli/Dar llûzrû*, a jego wiersze przetłumaczone na serbski przez Biserkę Rajčić ukazały się ostatnio w drugim numerze kwartalnika „Agon” wraz z tekstami Ilony Witkowskiej i Anne Sexton. Zaangażowany społecznie poeta, którego nie trudno spotkać na wszystkich squotach świata być może nie zaczynał na FAMIE, ale rozwijał się tutaj i wzbogacał Festiwal swoją bezpośredniością. Teraz akademikiem już z pewnością nie jest, działa jako freelancer i wciąż pisze.

Co się stało z kierownicą?

W 2011 roku na FAMIE wraz z Magdaleną Ziębą była „kierownica” gazety „Famazine”, za co dostała Nagrodę im. Marka Kasza. W 2013 roku współprowadziła redakcję „Famiasta”. Od 2010 roku jest prezesem Stowarzyszenia Młodych Twórców „KONTRAST”. Dziennikarka, fotograf. O kim mowa? O Joannie Figarskiej, „starej znajomej” zarówno z sekcji krytyki sztuki jak i z rady programowej Festiwalu. Choć na FAMIE już od jakiegoś czasu się nie widzimy, Joanna Figarska nie śpi. Jest redaktorem naczelnym miesięcznika kulturalno-publicystycznego „Kontrast”, wydawanego na platformie internetowej. Redakcji szeffuje już od sześciu lat, w trakcie których pismo rozwijało się i teraz może poszczycić się takimi atutami jak atrakcyjna warstwa wizualna (artykuły ilustrowane są zazwyczaj autorskimi grafikami i fotografiami) czy rubryka stałych felietonów Filipa Zawady. Z ramienia Stowarzyszenia Młodych Twórców „KONTRAST” naczelna współpracuje aktualnie z Dolnośląską Szkołą Wyższą i kieruje pracami nad jubileuszową gazetą szkoły. Kończy również kurs w Ośrodku Postaw Twórczych, czego efektem będzie autorska książka fotograficzna pt. *Gdybyśmy mieszkali w lesie*. Joanna Figarska pracuje nad nią wytrwale pod czujnym okiem fotografów Filipa Zawady i Krzysztofa Solarewicza. Fotografia to jej pasja – coś, czemu poświęca się najbardziej. Dlatego być może niedługo oprócz książki będziemy mogli zobaczyć w Internecie stronę poświęconą jej fotografii.

• Zuzanna Sala

Wykreśl FAMĘ!

Zadanie na spostrzegawczość – wyteż swój wzrok, wykreśl słowa związane z FAMĄ i życiem na Oflagu. Ukryliśmy przed Tobą 19 wyrazów. Powodzenia!

J	W	W	A	R	S	Z	Ó	W	P	K	I	L	H	Ś	A	O	F	Y	Z	F
O	A	T	D	A	W	G	F	L	S	P	I	M	W	B	K	A	B	B	M	M
H	L	O	P	L	A	Ż	A	C	F	T	W	I	A	M	I	Q	S	V	H	J
N	E	R	J	G	B	K	E	A	E	O	N	A	S	D	O	U	K	Z	A	Q
Y	T	P	Y	G	A	N	O	R	Z	O	T	M	R	P	Ż	S	R	M	C	I
D	Y	E	J	C	A	X	A	K	U	J	B	O	R	S	L	A	S	W	O	W
E	N	D	I	Z	M	T	H	J	U	W	R	O	G	C	Z	E	N	F	Y	M
P	Z	A	T	U	U	N	Ś	F	T	D	M	E	D	R	S	T	L	D	O	C
P	R	L	U	R	E	C	O	M	Z	I	Y	M	R	S	A	A	A	R	Ż	X
Y	W	U	A	B	I	Y	J	I	Z	L	I	N	I	V	G	F	Z	T	C	A
J	M	D	E	E	L	H	K	A	Y	M	U	O	E	R	Y	E	I	Z	Y	V
M	N	U	F	A	M	I	A	S	T	O	N	E	M	A	V	J	Y	A	Y	K

45. FAMA

MIĘDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS

Koncert Finałowy

„Listy do F”

reż. G. Dolniak

kier. muz. M. Pędziwiatr

scenogr. J. Martyniuk

Amfiteatr

PIĄTEK 28.08

20:30

